Najświętsza Panna Pompejańska

Co może zdziałać jeden człowiek we współpracy z Maryją Niepokalaną? Mamy wspaniały przykład św. Maksymiliana Kolbego, który działał na początku ubiegłego wieku. Nieco wcześniej pewien włoski adwokat, we współpracy z Najświętszą Panną, także dokonał wielu zaskakujących dzieł. Poniżej przytaczamy historię działalności błogosławionego Bartolo Longo, opisaną w r. 1914 przez ks. Pawła Smolikowskiego.

Któż, będąc w Neapolu, nie zechce zwiedzić także i Pompei? – Dostać się tam nie jest trudno. Wyjeżdża się koleją i za godzinę słyszy się konduktora, wywołującego stację: Pompei! – Ale dziś niewielu podróżnych wysiada, aby oglądać starożytne miasto w ruinach, tak pełne pamiątek i tak bogate w naukę. Większość, prawie wszyscy jadą dalej, do następnej stacji: Valle di Pompei: W roku 1902 zwiedziło te Nowe Pompeje 300.000 pielgrzymów, a między nimi było 10 kardynałów, 124 biskupów, do 20.000 księży, 20 senatorów, 48 deputowanych, 360 urzędników, 21 jenerałów', 37 pułkowników, 86 majorów, 264 kapitanów, 500 oficerów, 25.000 żołnierzy, 157 profesorów, 700 adwokatów, 548 medyków itd. [w 2019 r. przybyło tam 3,9 mln. turystów – przyp. red.]

Cóż ich tak tam ciągnęło?

Cudowny, sławny na całe Włochy, a dziś już na cały świat, obraz N. Panny Różańcowej Pompejańskiej w przepysznej Bazylice, zbudowanej według wszystkich wymogów sztuki, a którą Leon XIII uznał za świątynię papieską, za Bazylikę, równą Bazylikom rzymskim; ciągnie także powstałe świeżo przy Bazylice miasto, liczące wprawdzie coś nad 4 tysiące

mieszkańców tylko, ale uposażone we wszelkie wygody, zakłady dobroczynne, odpowiadające tak dobrze dzisiejszym potrzebom. Jest ogromny gmach, mieszczący w sobie około 150 sierot, jest zakład dla synów kryminalistów, których liczba dziś wynosi 140. A że tam nie wychowuje się ludzi wykolejonych, ale pożytecznych dla społeczeństwa, więc uczą się rzemiosła, stąd w Pompejach nowych powstały różne warsztaty, opatrzone we wszystkie udoskonalenia, jakie do rzemiosła wniósł postęp. Co jeszcze pociąga? Że w tym mieście wieje duch jakiś inny, odrębny duch nowoczesny, a jednak czysto chrześcijański, w tym znaczeniu, że myśl chrześcijańska, zawsze jedna i ta sama, kazała tu sobie służyć wszystkiemu, czym się dziś świat posługuje: nawet reklamie! Wszędzie też tu ruch, czynność niezmordowana, czy to w drukarni, czy w warsztatach, a wszystko na wielką skalę i wszystko służy religii.

A w końcu tym, co jeszcze tu ciągnie, to że przed niespełna trzydziestu laty nic tu nie było – była cisza zupełna i pustynia, a tych wszystkich dzieł w Nowych Pompejach, które kosztowały dotychczas 20 milionów, dokonał w tak krótkim czasie jeden człowiek: **Bartolo Longo**, adwokat.

Jakby więc wzywało tu wszystkich: Przyjdźcie i oglądajcie, co może jeden człowiek, niczym nie będący, nic nie mający, jeśli silną wiarą pójdzie za głosem Bożym i potrafi odpowiedzieć wezwaniu Bożemu. A że tu mówimy o religijności we Włoszech, dodać więc należy i to także, że będzie to na pewno na zawsze wielką zasługą tego człowieka, ale zarazem dowodem, ile w społeczeństwie włoskim jest religijności, bo w imię religii je do takiej ofiarności pobudził, że mógł tak wielkich rzeczy dokonać. Lepiej to jeszcze wykaże historia, bardzo zajmująca i pouczająca, powstania tego nowego miasta.

Bartolo Longo w młodości swojej stracił wiarę; owszem, szerzył niewiarę, wygadując na księży, na Kościół, a przy tym oddawał się spirytyzmowi. Przybywszy do Neapolu, (pochodził bowiem z prowincji południowych) ożenił się z wdową hrabiną de Fusco. Nawrócił się z czasem, zaczął praktykować, ale czuł w głębi

duszy jakiś lęk, niepokój, pochodzący z wyrzutów sumienia. Aby się zbawić, powiadał sobie, trzeba odpłacić za złe. wynagrodzić krzywdę niejednej duszy pewnie wyrządzoną. To go martwiło, gnębiło. Mając lat 33, po strasznych wewnętrznych walkach był już złamany. Tak sam o sobie pisze.

Na drodze prowadzącej z Neapolu do Salerno, ą przechodzącej przez szeroką dolinę między Wezuwiuszem a górą Gauro, stała karczma, która należała wraz z przyległymi gruntami do hrabiny de Fusco. W r. 1872, w miesiącu październiku, Bartolo Longo udał się tam, aby w imieniu żony odnowić kontrakty z dzierżawcami. Cała ta rozległa dolina w owym czasie była zupełnie opuszczoną. Stanowiła ona jedną parafię tylko, do której należało przeszło 1200 rozproszonych po całej dolinie biednych chłopów. Lichy kościółek, stojący niedaleko karczmy, już chylący się ku upadkowi, z wielką biedą mógł pomieścić ledwie 100 osób. W tej dolinie były rozsiane, daleko jedne od drugich, biedne chaty. Więcej tam nic nie było. Nawet się żaden żandarm tu nie pokazał; a bandyci mieli tu swe gniazda. Toteż, kiedy Bartolo Longo przybył na stację Pompei, już tam na niego czekało dwóch ludzi, dobrze uzbrojonych, aby go bezpiecznie odprowadzić do owej chaty.

Przywitany przez proboszcza, mieszkającego niedaleko, staruszka bardzo gorliwego, ale tej gorliwości nie mogącego użyć, bo ludzie rzadko tylko do kościoła przychodzili, bo i pomieścić się w nim wszyscy nie mogli, a tak bez nauki, bez sakramentów prawie, żyli jak dzicy. Od niego nasłuchał się też dużo smutnych rzeczy.

Załatwiwszy swe sprawy, Bartolo Longo puścił się sam, w zwykłej zadumie, po dolinie. Jak zawsze, przygnębiony, zamyślony, szedł, nie wiedząc gdzie, i zaszedł na miejsce, które chłopi nazywają Arpaja, co znaczy: Legowisko upiorów. Cisza była głęboka; żywej duszy widać nie było. „Zatrzymałem się – pisze. Duszę moją zalegały ciemności, zdawało mi się, że mi serce pęknie z żałości. W tym przypomniały mi się słowa zmarłego mojego przyjaciela: „Jeśli chcesz się zbawić,

rozszerzaj nabożeństwo do Różańca świętego. Matka Boska obiecała św. Dominikowi, że kto szerzy to nabożeństwo, zbawi się niechybnie”. Powstała we mnie nowa walka, ostateczna walka. W końcu z rozpaczliwą odwagą podniosłem oczy i ręce ku niebu i zawołałem do Matki Boskiej: „A więc się zbawię! W tej dolinie zaprowadzę Twój Różaniec!“ – I zaraz dziwny spokój i błogość jakaś opanowała mą duszę. W tym, dalekim echem, odbił się o moje uszy od głos dzwonów; dzwoniono tam gdzieś na Anioł Pański. Padłem na kolana, a kiedy zmówiwszy go, podniosłem się, spostrzegłem, żem płakał. To mi było rękojmią, że Pan Bóg mię wysłuchał, poruszył to moje serce“.

Tak opisuje początek tych wszystkich dzieł, które podziwiamy w „Valle di Pompei”, dolinie Pompejańskiej.

Obietnica, którą zrobił Matce Boskiej, nie była łatwą do spełnienia. Jak i gdzie zebrać rozproszonych ludzi? Jak ich nauczyć odmawiania Różańca? Zaczął chodzić po chatach i rozdawać koronki. Dobrze ich zrozumieć nie mógł, bo mówili jakimś zepsutym językiem, a spostrzegł, że mało ich, i to z trudem, umiało odmówić „Zdrowaś Maryjo”. – Po długich rozpytywaniach dowiedział się, że ludzie z tych stron ogromnie lubią loterie, jakie im czasem urządzają spekulanci, a na których wygrywają pierścionki miedziane, kolczyki świecące się. Postanowił z tego skorzystać, aby ich zebrać. Tak więc, zaraz w roku 1873 zapowiedział wielką loterię na trzecią niedzielę października. Nakupił koronek, krzyżyków (bo zauważył, że po chatach krzyżów nie było), pierścionków, kolczyków. Bilet kosztować miał kilka groszy, a każdy wygrywał. Przy tym miała być muzyka, sztuczne ognie. Proboszcz odśpiewa Mszę św., a zaproszony z Neapolu Dominikanin wygłosi kazanie. Ale nie bardzo udała się ta próba. Ogromny deszcz, który lał od rana, nie pozwolił liczniej się zgromadzić; muzyka nie miała gdzie grać; sztuczne ognie udać się nie mogły, a na domiar nieszczęścia okazało się, że uczonego Dominikanina chłopi nie rozumieli. – Niezrażony tym, na rok drugi inaczej się przygotowuje.

Przez trzy dni z rzędu przed dniem naznaczonym sam obchodził wszystkie chaty i zapraszał ludzi. Kazanie tym razem powiedział proboszcz, którego ludzie lepiej rozumieli. Skutek był lepszy; i ludzie nabrali do niego zaufania, bo widzieli, że tyle zachodów robi, a nic z tego nie korzysta, ale wiele z własnej kieszeni łoży. Ale chcąc ustalić nabożeństwo Różańcowe, trzeba było koniecznie, by się ludzie zbierali wspólnie i odmawiali Różaniec, trzeba było koniecznie, jednym słowem, założyć bractwo. Radził się księży, jak to osiągnąć i zrozumiał, że trzeba przede wszystkim urządzić misję. Ale jak ją urządzić? On, świecki człowiek, nie znający się na rzeczach kościelnych! Po wielu dopytywaniach, staraniach, w końcu doprowadził do tego, że w miesiącu listopadzie 1875 przysłał biskup diecezjalny (dolina ta należy do diecezji Nolo) trzech kapłanów i odbyła się misja trwająca dni 12 z wielkim pożytkiem ludzi. Wszyscy się wyspowiadali; zwaśnieni pogodzili się między sobą i Bractwo Różańcowe miało się uroczyście założyć. Ale trzeba było postarać się o obraz odpowiedni, przed którym codziennie odmawiano by Różaniec. W ostatniej chwili spostrzeżono się, że takiego obrazu nie ma.— Rzecz nagliła, bo na drugi dzień misja już się kończyła. Pospieszył zatem Bartolo Longo do Neapolu, po wielu poszukiwaniach i targach, bo ani się znał na obrazach świętych, ani umiał się targować, znalazł obraz Matki Boskiej Różańcowej. Stary to był obraz, w wielu miejscach wytarty; ale kosztował tylko 3 liry. Jak go przewieźć? Za duży był, by pozwolono zabrać go z sobą do wagonu: przesłać go frachtem nie było już czasu. Szczęściem, tego właśnie dnia woźnica jeden powracał do Pompei; jemu więc oddał do przewiezienia ten obraz, a sam, inną drogą, koleją, pospieszył z powrotem. Ale jakież było zmartwienie, gdy oczekiwany obraz przybył do Neapolu na wozie z gnojem. Poczciwy woźnica nie umiał sobie inaczej poradzić, a pobożny był, bo gdy mu chciał Bartolo za przewiezienie zapłacić, nic nie wziął, powiadając, że mu wystarcza, że obraz Matki Boskiej przywiózł do kościoła. —- Na zakończenie misji przybył sam biskup, udzielił Sakramentu Bierzmowania i Bractwo Różańcowe zostało wreszcie założone.

I któż by wtedy się domyślił, że to Bractwo, od początku swego istnienia, to jest od r. 1875, w ciągu lat pierwszych trzydziestu, miało urosnąć do 5 milionów członków! A między nimi byli: sam Ojciec święty, 30 kardynałów, przeszło 500 biskupów, a co dziwniejsza, 10.000 oficerów i przeszło 100.000 żołnierzy!

A ten obraz, kupiony za 3 liry, przywieziony na kupie gnoju, kiedyś zasłynie na całym świecie, będzie wzniesiony na tronie, który kosztował 200.000 lir, o ramie wartości 10.000, a ozdobiony blisko 1000 diamentami.

Bartolo Longo oświadczył się przed biskupem z zamiarem wystawienia w kościółku ołtarza pod wezwaniem Matki Boskiej Różańcowej. Słysząc o tym biskup, wzruszony aż do łez opowiadaniem misjonarzy o opłakanym stanie okolicznej ludności, rzekł do Bartola Longa i jego żony: „Od dawna myślę o odpowiednim kościele dla tych biednych ludzi i od dawna szukam kogoś, co by mi w tym pomógł. Otóż zamiast ołtarza wznieśmy kościół. Postarajcie się o chętnych, co by chcieli się zapisać na 1 solda na miesiąc (20 soldów na wartość 1 lir), a do zebranych przez was pieniędzy ja od siebie dodam 500 lir“. – Hrabina de Fusco zawahała się, nie bardzo chcąc się podejmować tak trudnej i niepewnej rzeczy, ale mąż jej rzekł: „Obiecaj także, a ja już będę robił za ciebie i za siebie. Ty mi dasz swoja firmę, swoich znajomych; Matka Najśw. resztę zrobi“. – Zaraz też przybywszy do Neapolu, rozesłał listy do pobożnych pań neapolitańskich, przyjaciółek swojej żony, prosząc o pomoc 1 solda na miesiąc dla wybudowania kościoła na ziemi fałszywych bogów. Hrabina też raz się zgodziwszy, krzątała się gorliwie i zbierała ofiary.

Roztropny biskup dał tę radę, aby nie rozpoczynać budować, aż się nie zbierze dobrą część pieniędzy, a następnie, aby nie nakładać większego podatku nad solda. „Dwa soldy na miesiąc – powiadał – po roku lub dwóch, znużą ofiarujących: jeden sold nikomu nie zaciąży”. Poradził też, aby i chłopów do składania się na kościół zaciągnąć, aby ich nakłonić do ofiarności

chrześcijańskiej, oraz aby mieli zasługę z budowy kościoła, który przecież miał służyć ku ich dobru duchowemu. Więc Bartolo Longo znowu zaczął obchodzić i wyszukiwać mieszkańców doliny Pompejańskiej. Wśród nich zyskał 300 stowarzyszonych i 15 lir z nich ściągnięte były pierwocinami owych 20 milionów. Był to grosz wdowi, który ściągnął błogosławieństwo Boże. W Neapolu z początku przyjmowano odezwy Bartolo Longa i jego żony z niedowierzaniem. „Podjęliście się rzeczy niewdzięcznej, mówili im przyjaciele. W Neapolu tyle jest dzieł dobroczynnych i pięknych, a z wysiłkiem tylko się podtrzymują; bo wszystkie popierają jedne i te same osoby. Jakże chcecie tu coś zrobić? I to jeszcze budować kościół! Gdzieś na pustyni, daleko od Neapolu, nawet nie w diecezji neapolitańskiej! A potem, choćbyście z początku znaleźli poparcie, pamiętajcie, że macie do czynienia z charakterem południowym, co się prędko zapala do nowych rzeczy, ale łatwo też i nuży się i męczy, po jakimś czasie ostyga, a wy rozkładacie rzecz na długie lata, bardzo długie, zbierając po soldzie na miesiąc”. Tych i tym podobnych uwag musieli się nasłuchać od samych przyjaciół, cóż dopiero od nieznajomych, niechętnych. Nieraz narażali się na nieprzyjemności, odmowę. Razu pewnego Bartolo był nawet w niemałym niebezpieczeństwie. Stanął on przed drzwiami pewnego kościoła i wychodzącym ludziom z nabożeństwa rozdawał drukowane odezwy, zachęcające do stowarzyszania się na rzecz budowy kościoła w Valle di Pompei.

A że od niedawna protestanci propagowali swoje błędy, rozrzucając między ludzi drukowane oszczerstwa przeciwko papieżowi, Kościołowi i Matce Boskiej, ludzie z daleka stojący wzięli Bartola Longa za protestanta. „Co za bezczelność –- zaczęto wołać – rozrzucać piśmidła tuż przed kościołem!“

Zaczęto nań rzucać kamieniami. Dostał parę pocisków w twarz, z okrzykami: psie! potępieńcze! – Ledwo, że cało mógł ujść. Przybiegłszy do domu, wołał sam do siebie: „Czy pamiętasz? Ty, syn Kościoła katolickiego, bezcześciłeś kapłanów, zakonników w zebraniach publicznych i prywatnych! Dziś synowie Kościoła

zbezczeszczają ciebie u drzwi kościelnych! Pan Bóg sprawiedliwy!“

Szło jak z kamienia; ale szło, dzięki niczym nie dającej się odstraszyć wytrwałości Bartola Longa. Aż w tym niespodziewanie Pan Bóg przyszedł na pomoc. W Neapolu, za pomocą Matki Boskiej Pompejańskiej było kilka cudownych uzdrowień. To dodawało odwagi, a powiększało liczbę stowarzyszonych. To też już 1876 r. Bartolo Longo rozpoczął budowę kościoła. Ale tu się rozpoczęły trudności innego rodzaju. Biskup powiedział: „Nie wydawajcie nic nad to, co macie“– a z drugiej strony: „Kiedy się ma – rzekł – zakładać fundamenty pod kościół, nigdy nie trzeba brać obecnej liczbę parafian, ale jaka będzie za lat 20“. Wypadało zatem wybudować kościół, który by mógł pomieścić dwa tysiące osób. Ale jak pogodzić to z pierwszym postanowieniem: nie wydawania nad to, co się posiada? Biskup i tu przyszedł w pomoc radą: „Zakładajcie fundamenty, ale nie wszystkie od razu; ułóżcie najpierw kwadrat i na nim budujcie kościół z frontem tymczasowym: za rok zburzycie ścianę frontową tymczasową i przedłużycie kościół, jeżeli zbierzecie dosyć pieniędzy i tak dalej idąc, przyjdziecie z czasem do całkowitego kościoła“.

Bartolo Longo, który się wcale nie znał na architekturze, uważał tę rade za genialną. Ale powstało nowe pytanie: jak budować fundamenty, czy na arkadach, co taniej, czy nie na arkadach? Jaki dać kształt kościołowi? Ozy ma być o kolumnach, czy nie? Czy o jednej nawie, czy o trzech? Czy w kształcie krzyża greckiego, czy łacińskiego? Czy sklepiony ma być, czy o wiązaniach z drzewa? – Trzeba było przynajmniej jakiegoś rysunku architektonicznego, ale biskup jak najmocniej przestrzegał przed architektami: „Połowa pieniędzy pójdzie na architekta, a nie macie ich za wiele”.

Trzeba jednak było się zdecydować przynajmniej na szerokość kościoła, jeśli długość miała z czasem przybywać w miarę zasobów. Widział Bartolo Longo w Scafati kościół, który odpowiadał temu w zupełności, czym miał być kościół

projektowany, udał się zatem tam z żoną, z jednym księdzem i murarzem i zaczęli brać miary. Ksiądz ów narysował nawet plan, a murarz poradził, by robotników zgodzić na dniówki, to będzie taniej, a on sam będzie za darmo pilnował roboty, bo taki uczynił ślub Matce Boskiej. Zadecydowano też, że fundamenty będą na arkadach. Trzeba było teraz pomyśleć o materiale. Stróż ruin pompejańskich miał u siebie na składzie zapas kamieni wulkanicznych, ofiarował z nich 12 metrów kubicznych; czekano tylko fur, aby je przewieść. Wtem, kiedy zebrali się ludzie w kościółku w niedzielę dnia 14 maja 1876, a był i Bartolo z żoną i jej rodziną i dwóch kapłanów, jego przyjaciół, proboszcz zaproponował, aby wszyscy, na znak poddaństwa Panu Nieba i ziemi, po nabożeństwie przenieśli te kamienie na miejsce budowy. I poszli wszyscy z proboszczem na czele, każdy wziął na barki swe ciężki kamień i drogą, zwaną Via Sacra, dźwigali pół godziny drogi, oblani potem, pod piekącym słońcem, przystając od czasu do czasu, aby odetchnąć.

Przystąpiono wreszcie do roboty. Jeden ksiądz poradził wziąć robotnika z Boscotracasa, jako tańszego i wzięto ich stamtąd. Ale okazało się, że nie znali właściwości gruntu pompejańskiego i nie dosyć głęboko założyli fundamenty. Było rzeczą jasną, że się bez porady jakiegoś architekta nie obejdzie. Uproszono więc jednego młodego, który podjął się za darmo obejrzeć robotę. Zganił ją też zaraz: fundamenty na arkadach nie wytrzymają – powiadał– trzeba je nadto kopać głębiej, a jeśli się nie założą od razu wszystkie, to potem kościół rysować się będzie. Co tu było robić? Bartolo Longo udał się więc do biskupa po poradę. „Zawieście robotę – rzekł biskup – aż wam przyślę mojego majstra Salvatore. On zadecyduje, a i ja sam pójdę zobaczyć”. Salvatore był to prosty murarz, starzec już, którego biskup bardzo cenił i do robót wszelakich używał. Bartolo Longo podaje rozmowę swoją z owym Salvatorem na dowód, jak powiadają, że kościół dotychczas jeszcze nie wyszedłby z fundamentów, gdyby był dziełem ludzkim.

– Cóż powiecie, majstrze, fundamenty te czy dobrze są założone?

– Pewnie, że dobrze.

– Ale młody architekt powiedział, że są na nic, że trzeba je przerobić.

– Tak, tak, są na nic rzeczywiście.

– Ale czy sądzicie, że jeśli się pogłębią filary, a zwężą arkady, możemy być pewni swego?

– O, tak, wtedy można być już pewnym.

– Ale ks. biskup powiada, że gdy Wezuwiusz potrzęsie, to budynek na takich fundamentach oparty, padnie.

– Pewnie, że padnie.

– Więc może lepiej zakładać fundamenty nie na filarach, a wtedy nie będzie już obawy o trzęsienie ziemi?

– Tak, wtedy nie będzie już obawy.

– Ale nie wiemy, jakiej długości i szerokości zakładać fundamenty, bo ks. biskup powiadał, aby częściami je zakładać, w miarę przybywania funduszy. Wy co na to powiadacie?

– Tak byłoby rzeczywiście dobrze.

Bartolo Longo był w rozpaczy, ledwo mógł po wstrzymać swoją niecierpliwość i pobiegł do Neapolu. Zaraz udał się do jednego ze swoich przyjaciół. U niego zastał starszą już i poważną osobę, sobie wcale nieznaną. Nie zważając na to, opowiada o swoich kłopotach.

– A kto jest architektem? – zapytał nieznajomy.

– Nie mamy architekta.

– Jak to? budujecie kościół, i nie macie architekta? Czy macie

aby plan?

Bartolo Longo miał go przy sobie, pokazał go. Nieznajomy, popatrzywszy na plan, uśmiechnął się.

– A dlaczegóż nie chcecie wziąć architekta? – zapytał.

– Bo by nam to pochłonęło połowę z tego, co z takim trudem zbieramy na budowę.

– To przesada. Zresztą moglibyście znaleźć architekta, który by wam darmo pomógł.

– O, co to to nie, nigdy w świecie. Dosyć się nasłuchałem kłopotów, jakie mieli ci, co przyjmowali usługi architektów bezpłatnych. Pretensji i procesom nie było końca.

– Nie wszyscy są takimi – odrzekł nieznajomy. – Ponieważ budujecie kościół dla biednych chłopów i za zbierane jałmużny, nie tylko wam zrobię plan za darmo, ale dopilnuję budowy, a nawet koszty podróży biorę na siebie.

Bartolo Longo nie wiedział, co ma uczynić, nieufny do architektów, pytał oczyma swego przyjaciela, ale ten uśmiechnął się i rzekł mu: – Bartolo, ten pan to Antonio Cua, architekt i profesor uniwersytetu, a najlepszy człowiek w świecie.

Opatrzność Boża wyrwała z kłopotów i odtąd budowa postępowała rączo, a prowadzona była ze znajomością sztuki.

Bartolo Longo, przez którego ręce przeszło 20 milionów i który potrafił je dobrze i umiejętnie użyć, a wielkich dzieł dokonał, pozostał takim prostym, takim skromnym, jakim był dawniej, a choć się postarzał, tak samo zawsze był czynnym, tak samo pełnym zapału: a tylko szczęśliwy i wesoły, jakim dawniej nie był, bo pewny, że jak dotrzymał swego słowa i zaprowadził nabożeństwo Różańca świętego w dolinie Pompejańskiej, i to ponad wszelkie możliwe oczekiwania, tak i Matka najświętsza swoją obietnicę spełni i zapewni mu

zbawienie. A ta błoga pewność nie dawała mu spocząć, ale do coraz nowych dzieł pobudzała.

Powiedzieliśmy już, że w Nowych Pompejach nowoczesność służyć musiała religii. Bartolo Longo robił wiele reklamą; reklamą uczciwą, opartą na prawdzie. „Napoleon III. śmiał twierdzić, powiadał, że mając 60.000 Francuzów, zdobędzie każdą fortecę; ja, mając 60.000 egzemplarzy mojej odezwy, zbuduję świątynię w Pompejach". I zbudował, Ale na tym nie po przestał. Koło świątyni umieścił sieroty i żywił z 200 osób, sam nic nie mając.

A że druk musiał mu we wszystkim służyć, więc wydawać zaczął czasopismo pod tytułem „Różaniec i Nowe Pompeje" , które rozchodziło się w przeszło 200.000 egzemplarzach, a rozsyłało się za darmo. W tym czasopiśmie r. 1891. w parę dni po poświęceniu nowego kościoła, Bartolo Longo ogłosił odezwę, w której stawiał to pytanie: „Jaka klasa ludzi najbardziej jest opuszczoną?" i odpowiadał; „Synowie przestępców kryminalnych. — Nie są to sieroty, więc nie mogą korzystać z zakładów dla sierot; a są gorzej niż sieroty, bo znienawidzeni dla przestępstw rodziców, niosą na sobie, bez żadnej własnej winy, piętno niesławy, a mając wciąż przed oczyma zbrodnię ojca, powoli idą tą samą drogą. Ach gdybym mógł tu, pod cieniem tej świątyni, pod macierzystym płaszczem Maryi, postawić zakład wychowawczy dla synów więźniów? Taki zakład ratowałby nie tylko te dzieci opuszczone, ale umoralniłby jeszcze same więzienia. Kiedy przestępca skazanym zostaje na lat 15. 20., a tym bardziej, jeśli na całe życie, pierwsze uczucie, jakie się w nim budzi, jest uczucie okropnej rozpaczy. Taki przeklina Boga, przeklina społeczeństwo, przeklina siebie samego. Najznakomitsi badacze stosunków więziennych opowiadali mi, że akcja społeczna żadnego przystępu nie ma do serca więźnia, skoro je opanowała rozpacz.

Otóż, jeśli w takim stanie będąc biedny więzień zasłyszy o swych dzieciach, że one nie są w zupełnym opuszczeniu, jak to bywa dotychczas, że nie są znienawidzone, że są ludzie, co się

nimi zajęli, że ta Panienka z Pompei, jako najczulsza Matka, zbiera je pod swój płaszcz macierzyński, ach wtedy myślę, że do tego serca wejdzie promyk światła. Odtąd biedny więzień, wspominając o swoich dzieciach, wspomni i o Maryi; zacznie się modlić”. I już pewny, że dzieło to stanie, zaczął wydawać nowe czasopismo „Valle di Pompei”, a poświęcone jedynie kwestii wychowania synów więźniów. I znowu ze sto tysięcy egzemplarzy szło na wszystkie strony, rozsyłane darmo. I stanęło dzieło jedyne na świecie: Zakład wychowawczy dla dzieci skazańców. Ale, że przez ten zakład chciał działać umoralniająco na więźniów samych, wszedł zatem przez chłopców w relacje z rodzicami. Przeszło ze 100 więźniami we Włoszech prowadził korespondencję, a owocami tej swojej pracy dzielił się z publicznością; stąd ciągłe budził zajęcie się społeczeństwa losem nieszczęśliwych i gorących znajdował współpracowników.

Czasopismo „Valle di Pompei” stało się z czasem bardzo zajmujące. W nim opisywał każdego chłopca, dawał jego fotografię, w pierwszych chwilach pobytu jego w zakładzie, i po jakimś czasie. Widzi się na twarzach, jakie przechodziły przeobrażenia. Na faktach życia codziennego pokazał, jak rzeczywiście taki syn zbrodniarza przechodzi z dziedzicznymi skłonnościami do zbrodni i jak wychowanie religijne te skłonności pokonywało.

Podnosi te spostrzeżenia swoje, jako argument przeciwko szkole materialistycznej. Dzieło to jego więc, prócz cechy dobroczynnej, miało jeszcze znaczenie apologetyczne.

Aby dać wyobrażenie, jak Bartolo Longo sobie radził, przedstawię tu w skrócie, w porządku chronologicznym, postęp tego dzieła.

W roku 1892 przybył mu pierwszy syn więźnia. Przyjął go i postanowił zaraz wybudować gmach, i jeszcze tego samego roku, dnia 29 maja, było uroczyste poświęcenie pierwszego kamienia pod przyszły zakład, przy udziale mnóstwa osób, przybyłych z Neapolu. Ceremonii dokonał biskup z Nola. Przemawiało dwóch

adwokatów; zabierał głos i Bartolo Longo. „Mam już jednego syna skazańca – powiadał – którego uściskałem tu, na miejscu. Obiecuję za lat pięć przedstawić wam stu innych, już w nowym budynku. To nie sen, to nie złudzenie. Widzicie ten długi szereg dziewcząt ubranych w bieli. Przed pięciu laty nie było ani jednej sieroty; dziś jest ich sto. Na placu Nowych Pompei położono pierwszy materialny kamień gmachu, w którym mają się wychowywać synowie skazańców. Wy, w tej sali kładziecie pierwszy kamień moralny tego gmachu. Dziś wyciągając ręce ku temu nowemu dziełu, przykładacie rękę do innego jeszcze dzieła, do umoralnienia więzień. Kiedy biedny skazaniec posłyszy, żeście tu przybyli święcić założenie dzieła, które ma ratować jego syna, rzuci się na kolana, łza pokryje jego oschłe powieki, a podnosząc ku niebu zbiedzone lica, wyjęknie słowo, nie przekleństwa, ale błogosławieństwa na głowy wasze i dzieci waszych. – Nie będzie już złorzeczył społeczeństwu”.

Takie słowa poruszały i miały swój skutek. Swoje czasopismo zaczął rozsyłać po więzieniach. – Zaraz, w przeciągu czterech miesięcy, otrzymał 335 listów od więźniów. Prosili oni, by się sieroty za nich modliły, prosili o koronki. Niektórzy opisywali, jak wielką pociechę odnoszą z odmawiania Różańca, dziękowali za przesłane książki; a wszyscy wdzięczni, że ktoś im serce okazał. Byli i tacy, co skruszeni, uznawali tę karę, jaką cierpieli, za błogosławieństwo Boże dla duszy, bo przez nią mogli odpłacić za swą zbrodnię. Dawniej – pisał mu jeden – dzień każdy wydawał mi się rokiem całym i wciąż byłem niecierpliwy; dziś jestem tak spokojny i zadowolony, że zapominam niemal, gdzie jestem. Obiecuję, gdy wyjdę z więzienia, prowadzić życie uczciwe. I ja byłem, dzieckiem będąc, opuszczony zupełnie… I może… Ach, jak mi żal tych biednych dzieci co maja ojca w więzieniu! Ale o ile są dzisiaj szczęśliwsze ode mnie, że znajdują opiekę“.

„Kiedy ja byłem dzieckiem, nie znalazła się jedna dusza chrześcijańska, co by się zlitowała nade mną, co by mię była sprowadziła ze złej drogi na drogę uczciwości!“ Tak pisał syn

więźnia, sam więzień teraz. Te listy dodawały odwagi. Ale były i inne, które rozdzierały duszę Bartola Longa. Otrzymał list jeden, na którym odczytał wydrukowany przepis więzienny, że skazanym na ciężkie roboty raz tylko co trzy miesiące wolno pisywać do krewnych. Ten więc, co pisał do mnie – powiada – pozbawiał wiadomości o sobie swoją rodzinę, starą matkę, może żonę i dzieci swoje, i będą musieli czekać całe sześć miesięcy, aby się dowiedzieć, czy syn, mąż lub ojciec żyje jeszcze! A jednak ten człowiek pisał do mnie! I cóż takiego pisał. Kiedy drżący ze wzruszenia przebiegałem te stronnice, miałem to uczucie, tę pewność, że każde słowo w nich było oblane łzami“.

Skazaniec, który do mnie pisał, polecał mi swoich synów. „Valle di Pompei“ rozniosło wiadomość między więźniami o zakładzie moim. Polecał mi więc swoich synów, ale z takim jękiem, z takim bólem, słowami, które by mogły wychodzić chyba z ust konającego. A choć to nie pisał umierający, pisał ten, kto się uważał już za nieżyjącego, oddzielonego na zawsze od wszystkiego i od wszystkich. Były to słowa skazanego na całe życie. Inny znowu pisał: „Jestem skazany na zawsze, nie zobaczę już nigdy światła ani wolności; ale mam sześciu synów. Jeśli ich nie uratujesz, pajdą oni wszyscy za mną do więzienia”.

Ale jak przyjmować więcej chłopców kiedy budowa się zaczęła i wszystko, co się miało, dawało się na budowę? Bartolo Longo nie miał serca odmawiać przyjęcia tym nieszczęśliwym i zrobił ofiarę z nadziei oglądania wspaniałego, odpowiednio do potrzeb urządzonego gmachu. Wstrzymał roboty, a kupił dom, który tymczasowo urządził, jak mógł, na zakład wychowawczy.

W następnym roku, 29 maja, zebrało się znowu w Dolinie Pompejańskiej mnóstwo osób zaproszonych. Byli tam z różnych miast włoskich przedstawiciele uniwersytetów, sądownictwa, prasy. – Przemawiali adwokat Porlati z Neapolu, adw. Casoli z Modeny, profesor uniwersytetu Tonioli z Pizy. Zabierał też głos, jak zwykle, Bartolo Longo.

Rozsyłane wszędzie jego czasopisma i odezwy wywołały ogromne zajęcie, ale też i protesty. Zwrócili się przeciwko niemu ludzie bez wiary. W przemowie swojej dawał im teraz odprawę. Powiadali mu: Niczego nie wykażesz, bo kto się rodzi zbrodniarzem, musi umrzeć zbrodniarzem. Takie jest prawo natury. „A więc – pyta Bartolo Longo – co mamy robić? Nie trzeba się zajmować tymi nieszczęśliwymi, odpowiadacie mi, trzeba zostawić ich losowi. A czy wasi lekarze, choć wyznają wasze zasady, opuszczają dzieci chore od urodzenia na suchoty?”

Jak na niepewnych podstawach opiera się nauka niedowiarków, cytował fakt jeden, który obudził wielką wesołość w słuchaczach. „Przychodzili nieraz do zakładu profesorowie, lekarze chorób umysłowych. Zdarzyło się, że sławny jeden doktor, frenolog, mając sobie przedstawionych synów skazańców, uczepił się szczególnie jednego: „Ten chłopiec ma wszystkie cechy zwyrodnienia – rzekł do obecnych. Patrzcie na jego zęby, uszy, głowę, czoło… wszystko to każe wnioskować, że jest dziedzicznym zbrodniarzem”. Wziąłem go za ramię i odprowadziłem nieco na stronę. „Doktorze – powiedziałem mu – zaszła pomyłka. Ten chłopiec nie jest z moich, znalazł się tu przypadkiem. To syn wysokiego urzędnika”…

Powiadali mu pozytywiści: „Przyjmując do swego zakładu tych nieszczęśliwych, kładziesz na nich piętno hańby, bo nie będą mogli już ukryć, że są synami zbrodniarzy, bo już sama nazwa tego zakładu przypominać będzie zawsze ich pochodzenie”. Ale w takim razie potępić trzeba wszelkie zakłady dobroczynne, które wzniesione są dla leczenia różnych ran społecznych. „Jeżeli chodzi o nazwę – powiada Bartolo Longo – to ją można zmienić. Kiedy pytałem przyjaciół, jak nazwać ten zakład, powiadali mi: Daj mu twoje imię, a tak odpowiedzialność na ciebie samego spadnie. Zakład też od początku samego ma nazwę: Zakładu wychowawczego Bartola Longa. Ale pytam, czy te dzieci, nie będąc w zakładzie, ukryją to, że są dziećmi zbrodniarzy? Nigdy w świecie. Pobyt zaś ich w zakładzie może je tylko

zrehabilitować, jeśli potrafimy je tu przerobić na uczciwych ludzi.

Powiadają nam, nareszcie, że jeśli te dzieci, z urodzenia zbrodniarze, zbierze się razem, stworzy się legowisko dzikich zwierząt. W tym legowisku każdy będzie objawiał na zewnątrz swoją złość wrodzoną j przywłaszczać sobie będzie złość innych, patrząc na nią. Zakład zatem taki jest rzeczą niemoralną, antyspołeczną. A wniosek stąd jaki? Zostawić ich własnemu losowi, to jest, pozwolić im umierać w nędzy i spodleniu. – Oto ostatnie słowo tej nauki bez miłości!

„Powiadają, że stwarzamy legowisko dzikich zwierząt! Otóż społeczeństwo ma prawo pozbywać się dzikich zwierząt, co napastują drogi i domy. Albo nieudolne do obrony kraju. Niech na nie polują, jeśli ich nie chcą, by nie stwarzać legowisk dzikich zwierząt, więc niech je zabijają. Ale niech zabijają oni, jeśli mają na to serce: nie my. Niech je mordują, jak mordowano w Sparcie dzieci chore i ułomne, bo nieudolne do obrony kraju. Niech na nie polują jak się poluje na tygrysy i jak niegdyś polowano tu w tej dolinie, na wilki. Za każdego wilka upolowanego dawana 25 lir nagrody. Niech naznaczą i oni cenę na głowę każdego nieszczęśliwego dziecka zbrodniarza. Ale jako żyw jest Bóg, we Włoszech, które dały światu tych, co odkrywali ziemie nowe i nowe nieba, Krzysztofa Kolumba i Galileusza, nie zabija się żadne dziecko! Jeśli nie chcą zabijać, niech mi pozwolą wsadzić je do klatki. Ale miłość dokonuje cudu przemienienia. Dzisiaj przedstawię wam piętnaście tych mniemanych dzikich zwierząt, a zobaczycie przed sobą nie dzikie zwierzęta, ale piętnastu miłych chłopaków. Przedstawię je wam, bo te biedne dzieci potrzebują tego, abyście okazali im współczucie, abyście je widzieli. One chcą widzieć swych dobroczyńców, oczekiwały dnia dzisiejszego – to ich święto. Nie przedstawić ich wam dzisiaj, byłoby dla nich ubliżeniem, pokazałoby, że się o nie nie dba. Przyjmijcie je miłośnie. Niech widzą teraz, w zaraniu swego życia, że społeczeństwo je kocha, a nie nienawidzi”.

Kiedy po tej przemowie przyprowadził 15 chłopców przed zgromadzenie, wzruszenie ogarnęło wszystkich. Ustawili się rzędem, a gdy nastała cisza, trzech z najmniejszych wystąpiło i wyrecytowało małe wierszyki. Ci, którzy widzieli już te same dzieci, kiedy tylko co były przybyły do zakładu, brudne, w łachmanach, pełne robactwa, wynędzniałe, o dzikim wejrzeniu, a dziś patrzyli na ich wesołe, otwarte, skromne, ale śmiałe twarzyczki, nie mogli się od łez powstrzymać. A kiedy wszystkie te dzieci zaczęły pomiędzy obecnych rozdawać drukowane, tylko co wyrecytowane wierszyki, rozrywano między siebie tych synów zbrodniarzy, pieszczono, całowano. „Patrząc na to – powiadał Bartolo Longo – zdawało mi się, że w tej chwili obie części ludzkości, ta, która używa i ta, która cierpi, dawały sobie uścisk pojednania i miłości przed ołtarzem Najświętszej Panny Pompejańskiej”.

Naprawa przez zakład Bartola Longa już się rozpoczęła.

W roku następnym (1894), przy końcu maja, odbyła się znów uroczystość w Dolinie Pompejańskiej, były znowu przemowy, a w końcu, jak zwykle, przemówił Bartolo Longo. Ubiegłoroczne jego występy przeciwko pozytywistom wywołały z ich strony odpowiedzi, jednak sam profesor Lombroso zmienił swe zdanie. Dotychczas stał uparcie przy tym, że zbrodniarze od urodzenia nie dadzą się nigdy wychowaniem przerobić, teraz już przypuszczał, że niektóre z tych dzieci można poprawić.

Zarzucano więc, że Bartolo Longo, nie znając i nie przyjmując zasad filozofów bez religii, nie będzie mógł nigdy ze skutkiem pracować nad wychowaniem dzieci przestępców. – „Ja nie idę za szkołą Salpetiere – odpowiadał im on – ani za szkolą w Nancy, ani za Lombrosem, ani za Ferrim; mój mistrz to Chrystus. Nie pogardzam nauką, bo nauka prawdziwa nie jest w przeciwieństwie do miłości. Bóg jest miłością i twórcą nauki. Jakżeż zatem mogą miłość i nauka stać z sobą w przeciwieństwie, skoro z jednego źródła wychodzą?”

„Nie jestem więc przeciwnikiem nauki: ale tam, gdzie nauka

sprzeciwia się miłości, tam ja zostawiam naukę, a idę za miłością. Kiedy więc nauka nowoczesna rozprawia o tym, czy synowie zbrodniarzy mogą być wychowywani, czy nie – ja ich wychowuję.

Gdy zastanawia się nad tym, jakie zasady wprowadzić w wychowanie zbrodniarzy dziedzicznych, ja ich przerabiam, wdrażając do pracy i do modlitwy. To mój sekret wychowawczy: praca i modlitwa.

Zarzucają mi, że niczego nie osiągnę, bo w wychowaniu trzymam się zasad Ewangelii, już przestarzałych, a nie zasad nowożytnej nauki; odpowiadam na to, przedstawiając Wam tu pierwsze owoce, rezultaty już otrzymane".

I tu rozpoczynał wykład swego rodzaju. Opisywał poszczególnie każdego chłopca, jakim był, jakim dziś jest. Wykazywał, na jakiego zbrodniarza nauka go skazywała, przez wzgląd na jego czaszkę, twarz, głowę i na jego pochodzenie. Opowiadał to wszystko, co sam spostrzegł w zachowaniu się chłopca, a potem mówił o przemianie, jaka w nim zaszła– a zaszła w wielu, jeśli żadnej przemiany na lepsze nie było, z całą szczerością i w całej prawdzie wyznawał, że dotychczas nic się nie otrzymało.

Oto np. przedstawiał ośmioletniego chłopca: Mario Moscini. Był już rok w zakładzie. Miał wszelkie dane na zbrodniarza. Dziwne zjawisko: kot domowy jemu tylko dawał się głaskać i on tylko kota lubił: chciał być też fotografowanym z kotem. Złośliwy j chytry był jak kot. Uśmiechał się zawsze ironicznie. Bardzo był zdolny, a w kłamstwie mistrzem. Na poczekaniu stwarzał całe historie, aby się usprawiedliwić; a robił to z taką obojętnością i z takimi szczegółami, że wyprowadzał w pole samych przełożonych. Jedyny to chłopak spośród 40, który nienawidził swego ojca. Miał to nieszczęście, że widział, jak ojciec zabijał jego matkę! Nigdy nie przebaczał, a zemsta była mu rozkoszą. Mścił się zawsze, z wyrachowaniem, na zimno, a lubił już naprzód dać poznać przeciwnikowi, że się zemści. Był prawie nieczuły na własne cierpienia, co psychiatrzy nazywają

analgezją, a która ma być znakiem, że ktoś z urodzenia ma nieczułość moralną, to jest, że dla niego nie ma różnicy między dobrem a złem. Z całego opisu, który dał Bartolo Longo, a który tu skróciliśmy, widać, z jaką miłością i z jakim niepokojem obserwował tego chłopca. Z najdrobniejszymi szczegółami opowiadał fakty, jednakawoż fakty te zdawały się usprawiedliwiać całkowicie sądy pozytywistów. Czy jest jakaś nadzieja poprawy? – pytał – i odpowiadał; jeszcze nie wiadomo, gdyż oto wczoraj jeszcze zaszedł wypadek, który zdaje się lepiej o nim rokować. Już było pod wieczór, a chłopcy jeszcze pracowali na gwałt w drukarni, aby dokończyć składania książeczek, które dziś wam będą rozdawane na pamiątkę. Dyrektor zwolnił ich od roboty, bo byli bardzo pomęczeni i zaczęli się bawić. Pozostał najmniejszy z nich, Tedeschi, bo układał arkusze. Po pewnym czasie zawołał dyrektor: „Kto chce zastąpić Tedeschiego, by i on trochę odetchnął?” Nikt się nie odezwał. „Nikt więc z was nie ma litości nad biednym waszym towarzyszem?” – „Pójdę ja go zastąpić” – zawołał… kto? – Mario Moscini. Jest to pierwszy czyn jego szlachetny. To mi daje nadzieję. Zresztą nie mogłem jeszcze doświadczyć środka ostatecznego najpotężniejszego, nieznanego materialistom i racjonalistom. Mario Moscini nie przystąpił jeszcze do pierwszej Komunii.

Okazało się, że ten środek nie zawiódł. Oto znajdujemy w przemowie Bartola Longa roku następnego opowiedziane przemienienie zupełne Maria Moscini po Komunii świętej! Opisuje walki, jakie staczał ze sobą Moscini, a kiedy mu już bardzo ciężko było, kiedy widział, że tym razem nie utrzyma swego strasznego charakteru na wodzy, jak prosił o spowiednika, z rana przyjmował Komunię św., i jak znowu wracał do równowagi. Ten chłopak, który dotychczas był tyranem swoich towarzyszy, dziś ich bierze w obronę, prosi za nimi przełożonych. Ciężko raz pokrzywdzony przez kolegę, nie tylko mu przebacza, ale wstawia się za nim, by mu darowano. Musiano darować na jego prośbę. . .

Jedna rzecz trapiła Bartola Longa. Moscini, jak widzieliśmy, nienawidził swego ojca. Po Pierwszej Komunii św. ustąpiła wprawdzie nienawiść, ale został pewien wstręt. Kiedy mu się mówiło o ojcu, spuszczał oczy i milczał. Zbliżało się święto Matki Pompejańskiej. Moscini wraz z innymi przygotowywał się do przyjęcia Komunii św. „Pomódl się za twego ojca, powiedział mu Bartolo Longo, owszem, napisz do ojca, że w dniu Komunii św. będziesz się modlił za niego“. Moscini posłuchał. Niedługo po tym przyszedł list od ojca, uszczęśliwionego, ze syn o nim nie zapomniał. Ach! czuł zapewne, ze syn jego mógł mieć tylko pogardę i nienawiść do niego i to go bez wątpienia najbardziej gryzło w więzieniu. Bartolo Longo przeczytał chłopcu list ojca. Chłopak słuchał zrazu w milczeniu, ale po chwili zaczął blednąć, a w końcu łzy mu się puściły z oczu. „Ojcze mój! ach ojcze mój!“ wyjęknął. Miłość synowska obudziła się w Moscinim. Bartolo Longo ukląkł wraz z nim razem i obaj modlili się za nieszczęśliwego Ojca. Przeglądałem sprawozdania z lat następnych: Mario Moscini zawsze odtąd pierwszym był uczniem i najlepiej się sprawował.

Przemowa z roku 1894 miała zakończenie dramatyczne. Bartolo Longo mówił na końcu o testamencie zbrodniarza. W więzieniach florenckich siedział zbrodniarz skazany na zawsze. Zabił kilkoro ludzi, a w końcu własną żonę. Zostawił czworo dzieci, a myśl o nich przejmuje go rozpaczą. Śmierć się zbliża, a on bluźni i narzeka. Ale ma dwóch synów w Valle di Pompei i jeden z nich Maksymilian, wraz z siedmioma swymi towarzyszami ubiegłego roku przystąpił do pierwszej Komunii św.

Bartolo Longo, kiedy pobożnie klęczeli po przyjęciu Komunii św., zbliżył się do nich i rzekł: „Dzieci, pomódlmy się razem tak: O dobry Jezu, który z miłości dla nas chciałeś być uwięzionym, bitym, wyśmianym, a potem przelałeś krew swoją na krzyżu, ach! przez tę miłość Twoją, która kazała Ci się stać więźniem naszym w Eucharystii, a w tej chwili i w sercach naszych, wysłuchaj nasze modły, jakie Ci zanosimy za rodziców naszych: w więzieniach pociesz ich w tym dniu tak uroczystym

twojej i naszej Matki, Maryi. Jakoś nas nawiedził dzisiaj, nawiedź i rodziców naszych w więzieniach. Daj im poznać twoją miłość, która ich uczyni dobrymi, cierpliwymi, zdanymi na wolę Bożą; daj im żal za grzechy”.

Po nabożeństwie powiedział chłopcom Bartolo Longo: „Piszcie do waszych rodziców, pocieszcie ich“. Maksymilian napisał do ojca swego. Posłano list na ręce kapelana więziennego. Skazaniec, usłyszawszy, że jest list do niego, „Któż to pisze do mnie?“ zawołał zdziwiony. „Któż to pamięta jeszcze o mnie?“ „To twój syn, Maksymilian, pisze z Valle di Pompei”. Zadrżał starzec, a w miarę, jak słuchał czytania, bladł ze wzruszenia, a kiedy usłyszał, że syn jego, którego opłakiwał był jako opuszczonego, zgłodniałego, odpychanego przez wszystkich, skazanego na włóczęgę, a w końcu na więźnia, jak ojciec – znajduje się w miejscu bezpiecznym, że jest szczęśliwy i nie zapomniał o ojcu zbrodniarzu, ale się modli za ojca – wtedy ten człowiek, co niejeden ciężki cios przetrzymał, nie wytrzymał nadmiaru szczęścia. Padł na ziemię zemdlały: a kiedy przyszedł do siebie, był to już inny człowiek. Już nie rozpaczał. – Niedługo potem skazaniec ów napisał list do swych synów, list pierwszy i ostatni, jakoby swój testament. – „Starajcie się przede wszystkim – powiada w nim – być dobrymi chrześcijanami, a wtedy będziecie j dobrymi obywatelami i unikniecie tego nieszczęścia, które mnie spotkało. Nie miejcie nigdy nienawiści do nikogo, a wszystkim czyńcie dobrze. – Miejcie zawsze wielkie nabożeństwo do Najświętszej Panny. Módlcie się za mną, by mi P. Bóg był miłosiernym”.

„Ach, panowie – zawołał Bartolo Longo – ten skazaniec, który byłby umarł w niepokucie, wzywa miłosierdzia Bożego nad sobą – a to wskutek modlitw swych synów. A kiedy w dwa miesiące później umierał w więziennej celi, a kapłan odmawiał za nim modlitwy za konających, zebrał jeszcze ostatek sił, ręką konwulsyjnie porwał coś z szyi i podniósł do oczu. Był to szkaplerz Najświętszej Panny Pompejańskiej, który mu syn jego przysłał. Umierający wpatrywał się weń, a z ust jego wyszło

słowo nie bluźnierstwa i przekleństwa, ale słowo błogosławieństwa dla syna, który stał się dobroczyńcą jego duszy, dla dobrodziejów jego synów – a ostatnie jego słowo było imię Maryi! Niedługo, panowie, pójdziecie zwiedzać zakład, który przygarnia synów zbrodniarzy. Całujcie te mury nie tylko dlatego, że w nich znajdują przytułek dzieci opuszczone, które wy wychowujecie, ale i dlatego, że w nich się mieszczą przyszli apostołowie więzień".

I na takich ich Bartolo Longo wychowywał. Obiecał za lat 5 przedstawić stu synów skazańców. Obietnicy dotrzymał. Roku 1897 było ich w zakładzie rzeczywiście stu. W lat dziesięć, tj. 1902, było ich 132. w 1904 – 140. Wielu wyszło już wychowanych z zakładu. Jeden pracuje uczciwie w jednej drukarni w Rzymie, drugi jako introligator w Nowym Jorku. Trzeci wrócił w swoje strony jako szewc. Dwóch innych przyjął biskup z Catanzaro do swego seminarium, bo mieli powołanie na kapłanów. Ale, co więcej, wielu chłopców z zakładu adoptowały różne rodziny za własnych synów.

To dowodzi, jak wielkie przeobrażenie pojęć dokonało się w społeczeństwie pod wpływem zakładu Bartola Longa, jak wielkich cudów dokonała i nie przestaje dokonywać N. Panna Pompejańska.

Źródło: Smolikowski P. (1914). Najświętsza Panna Pompejańska. Drukarnia Prawda, Kraków. Niektóre słowa uwspółcześniono.

Obraz: ilustracja z książki.